Lwów, 25. Maja | Nr 62. | Rok 1854.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobote.* We Lwowie prenumerata roczna **6** Zlr. — półroczna **3** Zlr. — kwartalna **1** Zlr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Zlr. — półrocznie **4** Zlr.—kwartalnie **2** Zlr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następne $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

NIE UFAJ SOBIE.

Powieść przez Maryą z Chlędowskich Pomezańską.

VIII.

(Dokończenie.)

Szalony sprawca tego wypadku, lękając się zemsty rozburzonego ludu, pomyślał od razu o własnem niebezpieczeństwie i chciał zemknąć, i byłby zapewne zostawił Felicyą zemdlałą w powozie, lecz gdy obejrzawszy się poznał ulicę, i postrzegł że się znajduje o parę tylko kroków od własnego pomieszkania, nowa myśl jak łyskawica przemknęła mu przez głowę. „W każdem nieszczęściu jest szczęście!” pomyślał zapewne, i porwawszy bezprzytomną Felicyą, zaniósł co prędzej do swego pomieszkania i złożywszy ją na sofie zaczął trzeźwić.

Felicya przyszła wnet do siebie, i zdziwiona powiodła w koło siebie oczy. Sama jedna, leżała w objęciu prawie Ludwika, zajętego koło niej, i wpatrującego się w jej twarz z ognistem zachwyceniem. Rumieniec wstydu oblał jej twarz, szybkim ruchem odepchnęła Ludwika, i zaczęła się go wypytywać.

Ludwik nie miał potrzeby kłamać tym razem; opowiedział jej wszystko, i dodawszy że Zenobia zajęła się zranionem dzieckiem, wytłumaczył, jakim sposobem lękając się dla niej gniewu rozjątrzonego pospólstwa, zaniósł ją do siebie.

— I jaż to! ja? — zawołała Felicya, zdrowa wiejska dziewczyna zemdlałam? A Zenobija tak delikatna znalazła tyle siły aby nieść ratunek zranionemu dziecku?

— Przeciwnie! — odrzekł Ludwik, to dowodzi, iż pani posiadasz najwyższy stopień uczucia, działającego tak silnie na nerwy. Nasze miejskie panie ostrzelane ze wszystkiem, są bez czucia, i dla tego mogą brać się z zimną krwią do ratunku.

— Ta pochwała jest istnem szyderstwem. Lecz teraz nic już nie wstrzymuje. Chodźmy do Zenobii!

— Czyż pani nie słyszysz tych krzyków i groźb na ulicy. Te głupie tłumy czekają tylko na nas, by nas obrzucić błotem.

— O Boże! — zawołała Felicya z przestrachem; cóż ja zrobię.

— Będziesz pani łaskawa pozostać u mnie chwil kilka, póki się uliczna tłuszcza nieuspokoi i nierozejdzie, a tymczasem Zenobia obmyśli jaki środek wyprowadzenia pani ztąd.

— Cóż ja pocznę? gdzie poczekam? mówiła dalej zatrwożona Felicya.

— Tu u mnie! poświęć piękna Felicyo, pomieszkanie moje bytnością swoją, i w tej szczęśliwej dla mnie chwili, którą niebo zesłało, przyjmij wyznanie mej miłości, które czynię na klęczkach.

— Nie bluźnij pan! — rzekła Felicya ze wstydem. Niebo by miało przypuścić śmierć lub kalectwo na biedne dziecko, dla czczych wyznań twojej miłości? Ja przeciwnie widzę przestrogę nieba, które niepobłogosławiło, ani tej miłości jeżeli istnieje rzeczywiście, ani.... zamierzonej zemście mojej! — dodała po chwili bez myśli.

— Zamierzonej zemście! — zawołał Ludwik zdziwiony. A rozumiem! więc to ja miałem być tą lekceważoną ofiarą w ponętnej zemście nad szczęśliwym rywalem. Dziękuję pani za to. Lecz pozwolisz piękna Felicyo, powiedzieć sobie, iż kobieta, która nie kocha, a zalotne rzuca przecież spojrzenia, jakiemi dziś były twoje, upada w szacunku naszym, i daje prawo korzystania z nadarzającej się chwili. Co rzekłszy, usiadł sobie poufale na sofie przy Felicyi.

— Panie Ludwiku! — rzekła wstając gwałtownie. Przestań pan! wszak już jestem dosyć ukarana. Miarkujesz pan sam zapewne, że po takich słowach ani chwili tu zostać nie mogę, i że nie mam chęci słuchania pana dalej.

— Więc niech pani idzie sama! — odrzekł pan Ludwik najspokojniej; ja nie życzę sobie zupełnie wystawiać się na zdybanie tej głupiej gawiedzi.

— Jestem pewną, że nic nie powiedzą, gdy przemówimy do nich łagodnie. To lud wyrozumiały! Chodźmy! tylko prędko.

— Czyż się pani wreszcie nie boisz — mówił dalej szyderczo, gdy nas tak razem wychodzących zobaczą, by nie posądzili panią o to właśnie, do czego wstręt czujesz, i nie powitali ulicznemi wyrazami, jako kochankę moją?..

— Panie Ludwiku, pan nadużywasz mojego położenia, ale pomyśl, że obrażając mnie, będziesz musiał odpowiedzieć Zenobii.

— Sąd kobiet w tej mierze jest w rzeczy samej bardzo surowy, i bałbym się go zaiste, ale dla ciebie pani nie dla siebie. Wyznaję bowiem sam, że położenie pani teraźniejsze, nad którem mocno ubolewam, podaje najszersze pole do rozmaitych niebardzo korzystnych domysłów. Ja zaś czegóż mam się lękać? Cóż zawiniłem? Że cię kocham

piękna Felicyo, że ci w takiej chwili wyznał gorącą miłość moją? Któżby tego nie zrobił na mojem miejscu? żem panią przestrzegł o opinii publicznej, gdyby nas razem zobaczono, mniemam, że to było obowiązkiem człowieka uczciwego. I czyliż i tego nie mogę przytoczyć na moją obronę, że ja nie mogłem przewidzieć jakąś uprojektowaną przez panią zemstę. Sama zaś spojrzeniami swemi dzisiaj wzbudziłaś nadzieję moję! Czyliż nie mogłem sądzić, że to sam na sam, nie tylko mnie będzie przyjemnem; a jeżeli uniósł mnie zapał, którego nie taję, chciej pani wyznać, że wina jest nam obojga wspólna!

Na te słowa zadrżała Felicya okropnie, i zrozumiała w tej chwili całą okropność położenia swego, i zrozumiała własne serce. Jakże niedorzeczną wydała się jej chęć chwilowa zemsty, którą sama nad sobą się zemściła? Rospacz gorączkowa ogarnęła ją, bo w tej chwili uczuła, że ten Ludwik, pogardy godny, niczem nie jest dla jej serca, i że Brunona kocha, Brunona tylko. I może go teraz stracić na zawsze, bo czyliż Bruno będzie mógł kochać dziewczynę, potępioną przez opinię publiczną.

— Panie Ludwiku! — zawołała w gwałtownem uniesieniu. Wyprowadź mnie ztąd jak najprędzej. Zaklinam na wszystko co panu jest najdroższego w świecie.'

— Dla mnie tyś najdroższa Felicyo! — odrzekł Ludwik zadowolniony wrażeniem jakie sprawił na zmieszanej dziewczynie.

— Jeżeli to jest prawdą, jeżeli miłość pana jest szczerą, musi być zarazem i szlachetną. Chodźmy więc ztąd, idzie tu o szczęście całego życia mego.

— Tam gdzie idzie o szczęście całego życia, można poświęcić jedną chwilę. Jest jedno wyjście z tego domu na jedną ulicę, którem niepostrzeżeni możemy dostać się do pomieszkania Zenobii. Ale chcę nadgrody za to, jeden tylko pocałunek! to nie obrazi Brunona, ani mojej narzeczonej.

Felicya była tak silnie wzruszona, iż ledwie słyszała co Ludwik mówi; ostatnie jednak słowa uderzyły ją.

— Pan masz narzeczoną! — zawołała.

— Na której przyjazd czekam!

— I śmiesz mi wyznawać miłość?

— Wszak i pani mnie słuchałaś cierpliwie, a jeżeli nie słowa moje, to spojrzenia przynajmniej dosyć jasno przemawiały..

— Ja pana nie rozumiałam, i dziś nie rozumiem!

— Rozumiałaś mnie Felicyo, i dziś jeszcze postępowanie twoje ze mną było tego dowodem!

— Chodźmy na miłość boga — ja siedzę jak na rozżarzonych węglach.

— I mnie ogień pali! Felicyo, jeden pocałunek!

I w tej chwili korzystając z osłupienia Felicyi, porwał ją w pół, i spojrzawszy w okno otwarte, pociągnął ją bliżej ku niemu i wycisnął na jej ustach długi, przeciągły pocałunek, a rzuciwszy wzrok tryumfu na otwarte okno, porwał ją za sobą w głąb pokoju.

Biedna Felicya była bez przytomności prawie. Ona nie widziała ani otwartego okna, ani zrozumiała tych wszystkich ruchów Ludwika; w tej chwili stanęła jej tylko przed oczy zielona altanka na wsi, i przyszła jej na pamięć chwila pożegnania z Brunonem, jego ostatni pocałunek, i przysięga jaką uczyniła sama przed sobą, że pocałunku tego, żaden inny z ust jej nie zetrze. I zdało się jej słyszeć jeszcze ostatnie słowa: Nie ufaj sobie Felicyo!

Zadrżała i obudziła się z osłupienia swego. Szybkim krokiem biegła ku drzwiom. Lecz Ludwik rozmarzony pocałunkiem, zatrzymał ją.

— Przebacz Felicyo! — wyrzekł na wpół z czuciem, na wpół szyderczo; jam cię oszukał, tu nie ma innego wyjścia, chyba przez szpaler tej krzyczącej gawiedzi, a to więcej ciebie skompromituje, niż gdybyś na jeszcze jeden pozwoliła całus!

— Podły! — krzyknęła Felicya z natężeniem, bo jej tchu brakowało, i wszystko mąciło się w głowie.

— Ja nie kocham mojej narzeczonej, tylko ciebie i chociaż muszę się żenić z nią dla jej milionów, tobie oddam serce i jej miliony będą na twoje usługi. Felicyo! ty nawet nie masz innego wyboru, bo i tak już jesteś na zawsze skompromitowaną.

— Podły! krzyknęła raz jeszcze, i silnym rzutem wyrwawszy się z rąk jego, otworzyła drzwi i pobiegła na schody.

Darmo biegł za nią Ludwik, błagał, przepraszał, porywał za rekę, zwracał uwagę na ciągły krzyk uliczny, Felicya biegła coraz prędzej. Zaledwie ukazali się we drzwiach na ulicę prowadzących, ozwały się krzyki i przekleństwa.

— Patrzcie oto idzie zabójca, ze swoją bezwstydną kochanką! błota, kamieni na nich!

Felicya stanęła jak obłąkana; strach i zgroza przejęły biedną dziewczynę, osłupiałe, błagające rzuciła przed się spojrzenia, i... na przeciwnej ulicy stronie postrzegła Brunona, bladego okropnie, który patrzał na nią z wyrazem pogardy. Zachwiała się Felicya na ten widok i cofnęła nazad. Ludwik zatrzasnął drzwi i starał się nazad prowadzić na schody.

— Zgubiłonam! to on! to on! — krzyknęła Felicya!

— Kto taki?

— Bruno! tam stoi!

— Tem lepiej! — odrzekł Ludwik. Odtąd do mnie tylko należyć będziesz piękna Felicyo! Bruno się nie ożeni z shańbioną! Daję ci słowo honoru, będziesz szczęśliwa ze mną!

Felicya rozśmiała się śmiechem szalonej, i w rzeczy samej ona w tej chwili była obłąkaną prawie. Ostatnich dobywając sił, odepchnęła Ludwika i otwarłszy drzwi wybiegła na ulicę, a za nią biegł tłum ludu, składający się powiększej części z ulicznych chłopców, spodlonych kobiet,

i najniższego pospólstwa, i rzucał na nią błotem, i słowy gorszemi od błota.

Bez pamięci biegła naprzód z wyrazem rozpaczy i obłąkania w oczach i twarzy. Gdzie? nie wiedziała sama, byle uciec, byle ukryć się przed hańbą, która powtórnem straszydłem goniła jej rozburzone myśli. Lecz siły ją opuszczały; zmęczona biegiem, i wewnętrznem wzruszeniem, omal co nie upadła, gdy nagle postrzegła Brunona.

Nieuważając na otaczające ją tłumy padła na kolana:

— Brunonie! ratuj mnie! pamiętaj na to tylko, że ja nieszczęśliwa!

Na te słowa Bruno przyskoczył do niej, porwał jej rękę i zasłaniając sobą przed natarczywą gawiedzią, zawołał donośnym i silnym głosem.

— Czego chcecie! dajcie jej pokój! to nieszczęśliwa, pozbawiona zmysłów!

— Ona nieszczęśliwa! kochanka tego który nas tratuje! — ozwały się głosy, wtórowane chórem śmiechu szyderczego.

Bruno zgrzytnął zębami, lecz nie opuścił Felicyi.

— Mylicie się poczciwi ludzie! — ozwał się zwrócony głównie do jakiegoś wysłużonego żołnierza, którego twarz najwięcej wzbudzała ufności. Dla czegożby uciekała z jego domu?

— To prawda! — ozwał się stary żołnierz. I inni kiwnęli głowami, krzyki milknąć zaczęły, a nawet kilku czapek uchyliło przed Brunonem, którego męska i odważna postawa mimowolne wzbudzała uszanowanie w ludzie tak łatwo wszelkim wrażeniom dostępnym.

— Tam idźcie! szukać sprawiedliwości na człowieka, który wasze dzieci rozbija w szalonej swej nierozwadze!... A tu macie dla tego biednego dziecka, w imieniu tej biednej obłąkanej pani!

I rzucił kieskę swoją w ręce starego żołnierza.

— Wiwat! dobry pan! — zawołali w około.

— Dobry pan! dobra pani! — powtórzyli drudzy. I wszyscy pociągnęli za starym żołnierzem, który w przeciwną zwrócił się stronę.

— Gdzież się pani każesz zaprowadzić? — zapytał Bruno.

— Bądź wspaniałomyślnym do końca Brunonie! odwieź mnie tej chwili do ojca.

— Ze mną samym! cóżby świat powiedział na to, ten świat, w który pani tak śmiało weszłaś — odrzekł Bruno nie bez szyderstwa, którego mimo całego natężenia powstrzymać niemógł.

— Zasłużyłam na te słowa! lecz nie patrz na mnie Brunonie z taką pogardą. Nie potępiaj, póki nie wysłuchasz!

— Pani się chcesz usprawiedliwić przed wieśniakiem hreczkowym! Pani! kochana przez takiego salonowca!

W tej chwili weszli do pomieszkania Brunona. Felicya bezsilna, mdlejąca prawie upadła na sofę.

— Miej litość nademną! nie mów tak okropnie! Winna jestem, bo ufałam sobie za nadto... a teraz zhańbiona, obrzucona błotem! Zamilkła, porwawszy się za głowę, jakby się bała by jej nie pękła.

— Błoto mniej cię zhańbiło Felicyo, od tego pocałunku, który dobrowolnie przyjęłaś. Ja widziałem, i drudzy widzieli.

— Boże mój! cóżem zawiniła, byś mnie tak okropnie karał! jęczała Felicya! Widział! widział! Brunonie! co tu robisz? dodała wymawiając słowa bez związku, jak jej myśli bez związku były.

— Co tu robię? pytasz mnie pani. Przyjechałem by cię wyrwać z sieci tego podłego człowieka, lecz przybyłem za późno. I prędkiemi przynaglonemi opowiedział jej słowy: że wszystkie listy późniejsze Felicyi niepokoiły go, bo poznawał z nich zajęcie się jakieś tym Ludwikiem podłym. Chciał się dowiedzieć co o nim, i dowiedział przez przyjaciół w mieście mieszkających, że to człowiek zgangrenowany zepsuciem moralnem najokropniejszem, bez czci, wiary, bez uczuć, i bez wszelkich wyższych czy głowy czy serca natchnień! Straciwszy na rozpustę znaczny majątek własny, odłużywszy się najokropniej, za pomocą stosunków rodzinnych poznał się z bogatą ale brzydką i ułomną wielkiego majątku dziedziczką. Zaręczony z nią, różnemi pozorami tylko wstrzymywał ślub, którego narzeczona pragnęła, bo się biedna ułomna dziewczyna zajęła młodym i wytwornym Ludwikiem. Pojąwszy tedy, jak kompromitujące dla Felicyi są nadskakiwania Ludwika, po odpisie na jej list, uczynionym w chwili oburzenia, postanowił jechać sam; istotnie w kilka godzin po owym liście odjechał. Tem więcej zdawało mu się być koniecznem pośpieszać, że dowiedział się zarazem, iż ta, której opiece matka oddała córkę, była kochanką tego Ludwika, który nawet dla niej nie mało się zadłużył.

— Zenobia kochanką Ludwika! zawołała Felicya.

— Była nią! dzisiaj Ludwik ma inną kochankę.

— I jaż to, ja spodliłam się... niewinnie! bez chęci!

— Niewinnie! bez chęci! powtórzył Bruno z goryczą.

— Brunonie! niegodzi się!

— Pozwól pani niech skończę opowiadanie moje. Przyjechawszy do miasta, biegnę do ciebie. Właśnie wyjeżdzałaś pani na przechadzkę, i widziałem cię wspartą na jego ramieniu, ze wzrokiem wesołym i zalotnym, w niego wlepionym. Wbiegłem na schody, odebrałem list twój od Cieplińskiej. Pamiętasz pani ten list! powtórz pani teraz, że to... niewinnie... bez chęci!...

— Brunonie!

— Zaraz! już kończę!... Chciałem wyjechać tej chwili, lecz mimowolnie poszedłem w stronę, w którą wasz powóz poleciał. Przyszedłem na miejsce okropnego przypadku.

Zastałem tylko próżny powóz, i usłyszałem krzyki. Z nich dowiedziałem się, że jedna pani ratuje dziecko zranione, a druga z kochankiem schroniła się do jego pomieszkania. Byłem pewny, że Zenobia jest z nim, a ty Felicyo, ratujesz dziecko. Chciałem biegnąć do domu, w którym jak mi pokazywano leżało dziecko zranione, kiedy doszły ucha mego śmiechy jakieś i słowa urwane z okna przeciwległego domowi w którym byłaś. Trzech mężczyzn stało w niem, i śmiejąc się wskazywali na otwarte okna przeciwległe; zdało mi się usłyszeć imię twoje. Podniosłem oczy ku otwartemu oknu, i... widziałem... widziałem własnemi oczami.... czemu bym nie wierzył... na zaprzeczenie czego przed chwilą, byłbym postawił... życie... i honor mój!...

— Posłuchaj Brunonie!... jestem zhańbiona! to prawda!.. ale dowiedz się przynajmniej jakim sposobem znalazłam się u niego.

— Potem... potem!... teraz inny mnie powołuje obowiązek!... Bądź zdrowa pani tymczasem. Za chwil kilka wrócę... lub... może kto inny wróci...

— Brunonie! ty chcesz życie swoje narazić!... ja cię zgaduję.

— Słuchaj Felicyo!... Com zrobić postanowił, to zrobię!... żadna ludzka siła, i żadna nie wstrzyma mnie prośba... Lecz w tej chwili... dodał miększym głosem; przysięgnij mnie Felicyo, czy twoje zapewnienia... żeś niewinna są prawdziwe...

— Brunonie!... jam winna!... bom ciebie nie słuchała... bom nadto sobie ufała... i chwilę niedorzecznej zemsty, przepłaciłam hańbą... Ale ciebie tylko kochałam! i kocham... Bóg świadkiem moim!... wyrzekła i łzy się jej puściły, rzęsiste, gorące i bolesne.

Bruno patrzał na nią przez długą chwilę... Jej oczy nie uciekły przed jego spojrzeniem. Może zrozumiał to jej spojrzenie pełne rozpaczy i żalu, bo ścisnął ją za rękę z dawnem prawie uczuciem, i łagodniejszym choć pełnym żalu wyrzekł głosem:

— Idę Felicyo!... proś Boga, byśmy się widzieli jeszcze, jeżeli mniemasz, że możemy się dziś widzieć... jak widzieliśmy się dawniej. Jeżeli nie!... proś Boga, bym nie wrócił... bo w takim razie, niema już dla mnie szczęścia na tej ziemi. Felicyo bądź zdrowa!... Na każdy przypadek przebaczam ci...

— Brunonie! stój!... na miłość Boga!...

Darmo wołała. Bruno już wyszedł, i zamknąwszy drzwi, na klucz, polecił tylko służącemu by pilnował, czy Felicya nie zasłabnie lub czego potrzebować nie będzie.

Przeszło dla Felicyi kilka godzin okropnych... godzin których wspomnienie pozostaje niestarte aż do ostatniej życia chwili. Wlokły się okropnie leniwo, i każda z nich była coraz dłuższa, coraz powolniejsza. Co wycierpiała, tego żadne słowo dość mocne nie zdoła opisać! Są to cierpienia bez nazwiska, męczarnie moralne, którym żadna tortura fizyczna wyrównać nie zdoła. Oczekiwanie w rozpaczy żalu, niepewności, trwodze, oczekiwanie zapełnione zarzutami sumienia, to jest piekło moralne, którego kilka godzin jeżeli nie zabiją człowieka, to go oczyszczą jak złoto w ogniu. Takie godziny są okropną karą, ale Bóg je zsyła miłosierny naumyślnie, by duszę człowieka z brudu obmyć, jak burza otrząsa pył z zielonych drzewa liści. Kto wyrachuje ile razy, najmniejszym ruchem w domu uderzona, skoczyła ku drzwiom, a wyobraźnia biegła jeszcze prędzej, okazując jej najczarniejsze obrazy niesionego trupa! Brunona zabitego przez nią!...

Lecz że wszystko przechodzi na świecie, i najleniwsze godziny zniknąć muszą przecie w tem morzu przeszłości, którego olbrzymi dla nas ogrom, niknie przed niezmierzonym ogromem morza przed nami... morza nieskończoności przyszłej... przeszły i dla Felicyi, godziny oczekiwania, godziny kary, godziny poprawy. Klucz zawarczał we drzwiach. Otwarły się wreszcie, i wszedł przez nie... Bruno. Felicya zapomniawszy o wszystkiem co ich dzieliło, rzuciła się w jego objęcia.

— Powoli! powoli! rzekł Bruno przyciskając ją z lekka do siebie, pobladł, i usiadł na sofie.

— Tyś raniony! krzyknęła Felicya i dopiero teraz postrzegła, że ręka jego czarną chustką była związana. Uklękła przed nim, i ucałowała z szczerą pokorą i szczerem uczuciem tę zranioną rękę. Bruno schylił się do niej, i pocałował ją w czoło.

— Moja rana bardzo lekka! wyrzekł Bruno.

— A Ludwik? wyrzekła nieśmiało.

— Ludwik gorzej wyszedł; ma nogę strzaskaną, i zapewne kilka miesięcy będzie miał czasu do nie wesołych w łóżku rozmyślań... Bóg sam kierował dzisiejszemi wypadkami!... kto mniej zawinił, mniej będzie karany.

— Ja zawiniłam najwięcej!...

— Odpokutowałaś i ty! Widzę to z twej twarzy, na której są ślady tych godzin przebytych...

— Przebytych okropnie!... wyrzekła Felicya, i zadrżała jeszcze na ich wspomnienie.

— Ludwik zawinił najwięcej, i najwięcej skarany. Zawinił próżnością, i Bóg go za nią skarał, bo zapewne całe życie będzie kulawy.

— Ale ty mój Brunonie!... cóż ty zawiniłeś! mówiła Felicya a oczy jej ku niemu zwrócone, były pełne uczucia, i klęcząc ciągle, przyciskała usta swe do zranionej ręki.

— I jam przewinił; przewiniłem listem napisanym w oburzeniu chwilowem; przewiniłem, żem sam nie pojechał za tobą do miasta, że kochając ciebie nad życie, jedyny najdroższy skarb mój wystawiłem na niebespieczeństwo.... przewiniłem!... i jestem skarany...

— Brunonie!... a teraz, zanim się rozstaniemy na zawsze, pozwolisz może, bym... nie tłumaczyła się, bo wytłumaczyć się nie potrafię, ale przynajmniej opowiedziała ci

wszystko tak szczerze, jak gdybym w ostatniej mówiła spowiedzi... pozwól Brunonie.

— Niepotrzeba już!... odrzekł Bruno, podnosząc i tuląc do siebie Felicyę zdrową swą ręką. Wiem wszystko. W obec tych samych panów, którzy patrzyli przez okno, a których chciałam mieć świadkami naszej rozprawy, wyznał Ludwik wszystko, i uroczyście oczyścił ciebie ze wszelkiej winy.

— Uczynił to przecie!... i na cóż ten pojedynek! dodała, i gorąca łza padła na zranioną rękę.

— Nie był tyle szlachetny, by wyznanie to uczynić przed pojedynkiem. Na wszystkie moje i świadków nalegania odpowiadał dwuznacznym uśmiechem. Dopiero gdy upadł z nogą ztrzaskaną, upływ krwi gwałtowny, przestrach a może i sumienie wzruszone, przyprowadziły go do zupełnego wyznania.

— Niegodny!... zawołała Felicya.

— Przebacz mu Felicyo! bo zato wyznanie jego było uczynione z prawdziwym zapałem, który więcej cię jeszcze od słów uniewinniał. Teraz ty stoisz w blasku, ja w cieniu. Przebacz mi Felicyo, żem śmiał powątpiewać o tobie. Przebacz! dodał czule i ucałował jej rękę.

— Nie żartuj Brunonie! odrzekła Felicya, patrząc na niego na pół radosna, na pół niedowierzająca. Tyś godny najlepszej kobiety.

— Ty nią jesteś moja Felicyo!...

— Twoja? zawołała dziewczyna, a łono jej zadrżało radością bez miary.

— I na dowód że mi przebaczasz; mówił Bruno dalej słodkim i czułym głosem; ja każę zajechać, a ty Felicyo pozwól, bym cię odwiózł do rodziców.

— Brunonie drogi!...

— A że kobieta nie powinna jechać sam na sam z obcym mężczyzną, pozwól byśmy przejeżdzając koło naszego poczciwego plebana, wstąpili do niego i dali na zapowiedzi...

— Brunonie! jeżeli miłość moja może cię nagrodzić, masz ją bez granic, masz ją do śmierci...

Niemy ale serdeczny uścisk zakończył tę czułą scenę.

Za kilka tygodni szczęśliwy Bruno prowadził piękną Felicyą do ołtarza, a gdy wychodzili z kościoła, ścisnął ją lekko za rękę i z pustym uśmiechem szepnął jej do ucha.

— Teraz zostawszy mężatką, bardziej jeszcze jak kiedyś: nie ufaj sobie Felicyo!

— Ja tylko tobie ufać będę! odpowiedziała Felicya ze łzą rozczulenia w oku.

W kilka miesięcy później Zenobia pozbierawszy resztki swego majątku, kupiła wioskę małą w sąsiedztwie młodych małżonków. Zdarzenia ostatnie wstrząsnęły ją potężnie, i dobroczynny na niej wywarły wpływ. Opamiętawszy się z dawnego zaślepienia swego, porzuciwszy życie próżne, życie pozoru, szukała zaspokojenia w życiu spokojnem, na wewnątrz więcej zwróconem. I znalazła to zaspokojenie, do czego najwięcej przyłożyło się zajęcie około wychowania owej biednej zranionej dziewczynki, którą przyjęła za swoją córkę. Ludwik ją wyposażył, ożeniwszy się ze swoją bogatą dziedziczką, która choć brzydka i ułomna, miała dobre i pobłażające serce. Przebaczyła Ludwikowi, który okulawszy, postatkował, i nawet poprawił się o tyle, o ile taki jak on człowiek mógł się poprawić. Pożycie ich było dosyć szczęśliwe. Widząc utykającego na nogę męża, mówiła nieraz do niego: śmiejąc się słowami owej Spartanki.

— Idź mój mężu!... a każdy krok co zrobisz, przypomni ci żeś cierpiał — za swawolę.

WYJĄTEK Z DRAMATU „UKRAINKA.”

Ustęp trzeci.

AKT II.

SCENA SIEDEMNASTA.

Włodzimierz i Helena.

Helena.

(Oglądając się.)

Wszędzie jej szukam... ach otóż jest ona,
Serce mi bije, głos na ustach kona.

(Zbliża się do Heleny która go nie widzi, po długiem milczeniu mówi z cicha.)

Pani....

(Helena podnosi głowę zmieszana.)

O przebacz! przerywam niemile,
Może miłego zadumania chwile.

Helena.

O nic miłego! I owszem dziękuję
Za to z snów przykrych obudzenie,
Czasem się nawet na siłach nie czuję
Rozerwać samej bolesne marzenie.

Włodzimierz.

Sny przykre były? Marzyłaś boleśnie?
Jam myślał że jak na jawie, tak we śnie,
Na listkach róży spoczywasz szczęśliwa.

Helena.

(wstając.)

A prawda, prawda, pan mi przypomina
Że ja to przecie wesoła, szczęśliwa,
A zapomniałam! Jakaż to przyczyna
Że pan z bawiących grona tu przybywa?

Włodzimierz.

Sam niewiem czemu, nagle się ściemniło
Jakby ni jednej lampy już nie było,
Nagle tak ścichło, ni głosu, ni dźwięku,
I tak pobrzydło, ni woni ni wdzięku;
Jak gdy grad przejdzie przez kwitnące niwy,
Jak gdy śmierć przejdzie ponad serca tłuszczy,
I ja tam stałem jeden tylko żywy,
W świecie bez życia jak palma na puszczy.

(ciszej.)

Ciebie nie było...

Helena.

(Śmiejąc się.)

Ale proszę pana

Pamiętaj że ja na wsi wychowana,
Tych piękuych słówek ani cenić umiem,
Ani ich nawet dobrze nie rozumiem.

Włodzimierz.

(tonem lekkim.)

W obiegu tyle fałszywej monety,
Że i najlepszej brać nie chcą niestety!
A przytem to już z doświadczenia wiemy,
Że prostą drogą celu nie dojdziemy,
Że panie lubią li kwiaty robione,
Więc każdy świeże odrzuca na stronę,
Gdy kwiat bez życia, bez wdzięku i woni
Najchętniej z naszej przyjmujecie dłoni.

Helena.

Ja się w prawdziwe tylko kwiaty stroję,
I dziś, ot widzi pan tę różę moję?

(wskazuje mu białą różę u piersi swej.)

Włodzimierz.

(zalotnie.)

Nie, niewidzę jej, bo zwiędła i blada,
Z żalu żeś pani jej wdzięk jej odkradła.

Helena.

(poważniej i z uczuciem.)

Panie Włodzimierz, ja już tak znużona,
Tak bezlitośnie jestem przesycona,
Codzienną strawą tych zimnych grzeczności.
Proszę, porzućmy ten ton wesołości
Tak dziwnie sprzeczny z wyrazem twej twarzy,
Gdzie jakiś smutek dawniejszy się żarzy,
Jak i mnie maska nieznośna udania,
Co dobrze lica smutku nie osłauia
Tylko przedrzeźnia nieszczere wesele.

Włodzimierz.

O tak! porzućmy te słowa jałowe!
Heleno moja, dzięki ci aniele
Żeś zrozumiała mojej duszy mowę!

Helena.

(zmieszana.)

Cóż to jest? Panie...

Włodzimierz.

(z uniesieniem.)

O dzięki ci, dzięki!
Żeś zrozumiała mojej duszy mowę!
Żeś dosłyszała tej cichej piosenki,
Którą ma dusza dla ciebie wydzwania.

Helena.

(surowo.)

Lecz panie hrabio....

Włodzimierz.

Chociaż mi zabrania
Spojrzenie twoje, boli mnie i trwoży,
Ja jednak czuję w sobie jak głos boży,
Co dziś mnie zmusza powtórzyć koniecznie:
Że ciebie kocham, będę kochał wiecznie.

Helena.

(cofając się.)

O Boże, Boże!

(chce odejść, on ją wstrzymuje, biorąc jej rękę.)

Włodzimierz.

Wysłuchaj wyznania
Mego do końca, jak w chwili skonania,
Spowiedzią muszę oczyścić mą duszę,
Oh bo ty niewiesz jaki tu żar płonie,
W szalonem, w namiętnem łonie;
W sercu co kochać nie umie połową,
Ale w uczuciu całe się oddaję;
Co życia drogą nie idzie jałową,
Powolnym, zimnym, ziemskich gadów krokiem,
Lecz orlim lotem po nad ziemskie kraje,
Wznosi się szybko, zwiśnie nad obłokiem,
Albo gdy spadnie, o wtedy mu biada!
O ty się zlituj, niech już nie upada.
Od wiecznej zguby ratuj je aniele.

(Helena milczy.)

Ja byłem biedny, ja cierpiałem wiele,
Ja byłem jak ptaszę tułacze,
Jak dziecię sierotne, żebracze,
Jak gwiazdka bez swego słońca.
I cierpieć, tęsknić musiałem bez końca;
Aż ciebiem ujrzał w tobie wszystko razem.
Lecz jakże miłość słów odać obrazem?
To wszystko zimne, jak w grudniu południe,
Aż uczuć żar w słowach chłódnie,
Dość że ciebie ukochałem,
Szalonej miłości szałem,
Że dla mnie już oprócz ciebie,
Niema nawet Boga w niebie! (D. n.)

Alexyj Orłów i księżniczka Elżbieta Tarakanów.

Szkic historyczny.

(Dokończenie.)

Elżbieta Tarakanów, usunąwszy się zupełnie od zgiełku światowego, w nędzy żyła w Rzymie, gdy zjawia się razu jednego u niej oficer rossyjski, i w największej tajemnicy oświadcza, iż o bardzo ważnych rzeczach z nią rozmówić się ma. Mówi jej iż wysłany jest od hrabiego Orłowa, który uwiadomiony o jej nieszczęściu, ofiaruje jej swą pomoc i swe usługi. Serce jego bowiem boleje nad tem, iż córka carowej, na obcej ziemi i w niedostatku żywot pędzi. Biedna dziewczyna słucha go, nie domyślając się żadnego podstępu; nadzieja pomyślniejszej przyszłości wstąpiła znowu w jej serce, przyjmuje kwotę pieniężną, którę jej oficer w imieniu hrabiego Orłowa doręczył. Tak weszła w stosunki z Orłowem, które coraz stawały się ściślejsze. Ów oficer, powiernik Orłowa, Ribas, rodem z Neapolu, częste miewał schadzki z Elżbietą, w których rozpalał jej umysł nadziejami świetnej przyszłości, widokami tronu rossyjskiego. Biedna Elżbieta przysłuchiwała się chciwie jego słowom. Wszak od dzieciństwa żywiono w niej tę myśl. Teraz wydało się jej to, jak spełnienie jakiegoś w tajemniczy sposób jej wytkniętego przeznaczenia. Jednego wieczora wpadł do niej Ribas, cały pomieszany, z wiadomością, iż Orłów zerwał już zupełnie z carową Katarzyną, że wszystka Moskwa jest w zaburzeniu, teraz nadeszła pora, gdzie wykonanie zamysłu Orłowa, ogłoszenie Elżbiety carową łatwo wykonać się da. W kilka dni przybył sam Orłów do Rzymu, i odgrywał rolę, którą Ribas tak zręcznie rozpoczął, jeszcze z większą jak tenże przebiegłością. Mówił, iż ro-

dzina jego, której Katarzyna wszystko zawdzięcza, jest teraz zupełnie usunięta, że brat jego Grzegorz został skazany na wygnanie. Ale on dłużej tego nie ścierpi; zwycięzca pod Czesme pokaże Katarzynie, że tak samo jak carowe na tron wynosić, tak samo i z tronu zrzucić potrafi. Przez podobne oświadczenia wkradał się w zaufanie księżniczki, a w krótce pozyskał i jej miłość, bo był to mężczyzna przystojny, smukłego wzrostu i młody jeszcze. Pozyskawszy jej miłość, ofiarował jej swą rękę, przyrzekając jej, że jeźli nie zdoła wynieść ją na tron, toć przynajmniej bronić jej będzie jako swej żony. Elżbieta przyjęła jego oświadczenie; miała wtedy lat dwadzieścia i jeden. Wkrótce nastąpił ślub a nowożeńcy udali się do Liwurna. To były najpiękniejsze chwile w życiu Elżbiety. Nie znała ojca ani matki, sierotą, w niedostatku, wzrosła śród obcych sobie ludzi, na obcej ziemi. Teraz przynajmniej miała opiekuna, którego szczerem sercem pokochała, miała piękne suknie, kosztowne klejnoty, miała wszystko, czego jej serce zapragnęło. Gdy wieczorem w teatrze zjawiła się przy boku hrabiego, oczy wszystkich zwracały się ku jej loży. Każdy śpieszył z złożeniem jej hołdu, jak gdyby już koronę miała na głowie. Rodzina angielskiego konsula Dyck'a w którego domu mieszkała, nie nazywała jej inaczej jak: Jej Cesarska Wysokość. W Pizie, gdzie Orłów kilka tygodni bawił, książę toskański wyznaczył jej pałac na mieszkanie, i mnóstwo pań i służby do orszaku dworskiego. Pomimo tak wielkiej zmiany w jej położeniu, Elżbieta sama nie zmieniła się zupełnie. Łagodna i cicha, a przytem zawsze melancholijna, lubiona od wszystkich, którzy się do niej zbliżyli, lubiona była od wszystkiej ludności Liwurnie. Lecz w końcu ta komedya znudziła hrabiego. Postanowił, co raz zamierzył, dokonać. Było to w marcu r. 1775. Oddział floty rossyjskiej pod dowództwem wice admirała Greigh stał na kotwicy w zatoce Liwurneńskiej. Podczas obiadu mówiono o okrętach rossyjskich i układano projekta oglądania floty. Elżbieta przystała najchętniej na ten projekt, nie widziała bowiem jeszcze dotąd okrętu rossyjskiego. Z konsulem angielskim i z mężem w powozie udała się do portu, lud tłumnie spieszył, za niemi ciekawy przypatrzenia się obrotom floty. Przepyszna szalupa czekała na Elżbietę u brzegu. Wsiadła do niej wraz z konsulem angielskim, jego żoną i żoną admirała. W dwóch innych czółnach płynęli za niemi hrabia Orłów, wielu oficerów i włoskich panów.

Cisza była na morzu, gdzie niegdzie tylko lekkie chmurki przesuwały się po niebie. Okręt liniowy powitał przybywających salwą z dział i rozwinięciem bandery. Spuszczono piękną lektykę z pokładu, aby hrabina wygodniej mogła dostać się na okręt. I stanęła wesoła i zachwycona na pokładzie okrętu. Lecz w tej chwili rozwiały się na zawsze piękne marzenia jej życia. Zamiast okrzykami radości, załoga okrętowa przyjęła ją w największem milczeniu. Oficer jeden założył jej kajdany. Zdjęto kotwicę. Ona sama zemdlała. Z brzegu lud widział wszystko. Tysiące ludzi rzuciło się na czółna i płynęło na ratunek ku okrętowi. Lecz załoga z zapalonemi luntami stanęła przy działach, czółna nie uzbrojone cofnąć się musiały. Nadaremnie uskarżał się wielki książę Toskański o zgwałcenie praw jego w porcie toskańskim. Dwór rossyjski nie dał mu żadnej odpowiedzi.

W Petersburgu Elzbieta Tarakanów uchodziła za obłąkaną awanturnicę. W raportach poselskich znachodzimy następujące niedokładne doniesienia: „ósmego czerwca 1775 z Moskwy: Eskadra viceadmirała Greigha przybyła do Kronsztatu. Przywiezła z sobą słynną awanturnicę, tak zwaną księżniczkę rossyjską, którą hrabia Orłów w Liwurnie jak wiadomo przyaresztować kazał. Mają tę awanturnicę za obłąkaną. Przed dwu laty pisała do hrabiego Panina list obszerny, w którym się wnuką Szacha Nadira (!) mieni i kilka rossyjskich prowincyj pretenduje. Znaleziono przy niej wiele pieniędzy i klejnotów. Przed odjazdem jej z Rzymu podniesła od bankierów 200,000 skudów na wexle zagraniczne. Zdaje się iż wypytawszy ją o niektóre punkta w Petersburgu, wyszlą ją do klasztoru.” Lecz nie tak się stało. Elzbietę Tarakanów zamknięto w podziemnych lochach, w fortecy Schlüsselburgu. Tam zakończyła wkrótce życie, 25. lutego 1776 r. Jedni mówili iż pod batogami, lecz to nie zdaje się podobnem do prawdy. Inni utrzymywali iż wody Newy wdarły się do jej podziemnego więzienia, i porwały ją z sobą. Jenerał Sacken donosi pod dniem 27. lutego tegoż roku: „Szalona, tak zwana księżniczka Elżbieta, umarła wskutek choroby przed dwoma dniami w Schlüsselburgu. Choć śmierć jej zupełnie była naturalna, jak z dość pewnego dowiadujemy się źródła, jednakowo rozmaite puszczać będą w świat fałszywe wieści i domysły.”

Orłów zakończył życie w obłąkaniu. Jeden przed dwudziestu laty zmarły obywatel galicyjski, bardzo szanowny i wiarogodny mąż, ś. p. Jan Ur..... opowiadał, iż będąc raz w kąpielach w Karlsbadzie, w jednej z odległych ulic parku tamtejszego spotkał wysoką, chudą, odrażającą postać mężczyzny, który szybkim krokiem zbliżył się ku niemu, i jakby na wpół w obłąkaniu, nie pytany zaczął mu opowiadać dzieje swego żywota. Tłumaczył się z rozmaitych czynów, z rozmaitych występków, które popełnił. Słowa jego często były niezrozumiałe. Tyle tylko wyrozumieć można było, iż nieznajomy mienił się owym Aleksym Orłowem. „Piotra trzeciego, rzekł, musiano sprzątnąć, to była konieczność polityczna.“ Zawsze jednak wracał do opisywania okropnej sceny, jak piękna kobieta tonęła w napełniających więzienie nurtach Newy. Widoczne obłąkanie malowało się wtedy w oczach i we wszystkiem zachowaniu się hrabiego Orłowa. Scena tonącej Elzbiety przywidywała mu się co chwila, miał ją ciągle przed oczyma. Tego występku wytłumaczyć przed sobą samym, przeba-

czyć sobie nie mógł. Jak od upiora umykał przed tym strasznym człowiekiem nasz rodak. Wkrótce później dostał Orłów najzupełniejszego pomieszania zmysłów.

Pierwszy, który całą historyą księżniczki Elzbiety drukiem ogłosił był Archenholz. Uczynił to w opisie podróży do Włoch (*Reisebeschreibung von Italien*). W Liwurnie był sam naocznym świadkiem porwania Elżbiety. Wiadomość jego jest dosłownie umieszczona w znanem dziele: *"Russische Günstlinge."* Również donoszą o tej historyi: *«Memoires secrètes sur l'Italie»* i dzieło Castery: *»Żywot Katarzyny«* który wprawdzie przesadza wiele, ale o dworskich intrygach dokładnie był zainformowany. Castera utrzymuje, iż Elzbieta Tarakanów nie była Szuwalowa lecz córką Razumowskiego, z którym Carowa Elzbieta, jak powszechnie wówczas głoszono, miała być tajemnie zaślubioną.

Rozmaitość.

* **Książę Milosz.** Syn włościanina serbskiego w r. 1813 za wpływem rossyjskim wyniesiony został na księcia panującego Serbii, i był nim aż do r. 1839. Miłosz łączy w sobie wszystkie własności tyrana okrutnego z przymiotami przyjaciela ludu. Jest on namiętniejszy, mściwszy, podstępniejszy, niż był którykolwiek z despotów; a przecie chłopi daliby się porąbać za niego. Nauczył się on bowiem w młodości jeszcze, jak z niemi postępować, jak rozmawiać trzeba. Podróżując nieraz zajrzał do gospody karczemnej, i przywołał po nazwisku jakiego obdarciucha, którego znał przed 20 laty: «No Petro! co tam słychać? Jak ci się wiedzie?.. Dawnom cię nie widział?. Co porabia twoja żona i dzieci? Czy Zosia poszła za mąż?« Albo zajrzał nieraz do chlewu chłopskiego: »Oh, Milo, trzoda twoja nie bardzo mi się podoba. Dodaj no im dobrze, by po 100 funtów przynajmniej ważyły?« A kochany Milo zachwycony jest swym księciem, a historya o księciu Miłoszu i chlewie idzie z ust do ust, ze wsi do wsi i najzapaleńsi przeciwnicy jego stają się najwierniejszymi poddanymi. Po miastach prawda iż go nienawidzono. Po miastach widzą w Miłoszu jedynie nieubłaganego zaborcę podatków, i opowiadają dziwy o jego samowoli i mściwości. Choć naczelnikiem był narodu, który w poezyi wysokie zajmuje stanowisko, nie umie sam ani pisać ani czytać; rozkazy wszystkie wydawał ustnie, a spory najzawilsze rozstrzegał jednem słowem, bez wyroków pisemnych, pieczęci i z apelacyą jedynie do pana boga. To go czyniło u wygrywających process półbogiem, u przegrywających szatanem, przed którym pospólstwo serbskie więcej się trwoży jak przed samym bogiem. Bez wykształcenia i bez religii i niemogąc się tłumaczyć tak jak Turcy wiarą w koran który im względem niewiernych okrutnemi być pozwala, życie jego ma na sobie piętno wyuzdanego tyrana. Z zazdrości zamordował on Karę Jerzego, uciął mu sam głowę, wypchał i sułtanowi posłał w prezencie. Okrucieństwa jego spowodowały rewolucyą w r. 1839. w której stracił tron i do Wołoszczyzny umknąć musiał.

* **Kąpiele morskie w Paryżu.** Już dawniej mówiono o urządzeniu kąpiel morskich w Paryżu w parku Monceaux. Plan ten teraz ma przyjść do skutku. Miasto Paryż na 99 lat ma ustąpić tego parku przedsiębiercy, którym jest znany mechanik Dominik Sisco. Na brzegach morskich w Dieppe będą trzy maszyny wystawione, które wodę do takiej wysokości podnosić będą iż z tamtąd rurami woda płynąć będzie mogła do Paryża. Koszta obliczone są na 20 milionów franków. Staw sam gdzie woda zbierać się będzie kosztować ma półtora miliona. Wodociągi składać się będą z 80,400 rur, każda długości półtora sążniowej. Spodziewają się dochodu rocznego dwu milionów franków.

* Zygmunt III. mawiał: Polacy moi mówią, krew nie woda: ale widząc co krew zwłaszcza w królach robi, słuszniejby ją jeszcze mieczem zwali.

Tenże, oblał łzami trupy rokoszanów pod Guzowem: a wjeżdżając do Krakowa nie kazał ani bębnić ani znaku tryumfu pokazywać owszem rzekł: odmieniło się to zwycięztwo w płacz, bo muszę płakać Absolonów moich, którzy w tej bitwie padli ni przecz ni zacz.

Przyjechali od dnia 22. do 23. maja do Lwowa:

PP. Fredro Aleksander, hr. z Rudek. Kleczkowski Franciszek, z Nowosiółki. Łomnicki Karol, z Waręża. Niesiołowski Dominik, z Krakowa. Siemiński Konstanty, hr. ze Żółkwi. Szumlański Konstanty, z Wołkowa. Thullie Jan, z Mokrzan. Wisłocki Alojzy, z Krystyanopola.

PP. Bogdanowicz Krzysztof, ze Sosnowa. Krasicki Kazimierz, hr. z Przemyśla. Nahujowski Antoni, z Przemyśla. Pojewski Grzegorz, ze Sambora. Suchodolski Leon, ze Sosnowa. Towarnicki Jan, z Podhorodec. Turkuł Tadeusz, z Tarnopola.

Wyjechali od dnia 22. do 23. maja ze Lwowa:

PP. Janicki Kornel, do Kobyli. Lewicki Józef, do Bonowa. Wachtel Feliks, do Sanoka.

P. Szumlański Antoni, do Stryja.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	16	złr.	6	kr.	21.
Dukat cesarski	»	6	»	20	»	6	»	23.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	»	54	»	10	»	58.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	»	7	»	2	»	8.
Talar pruski	»	2	»	3	»	2	»	4.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	31	»	1	»	32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	»	92	»	—	»	92	»	24.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam.	115.	Marsylia	$161\frac{1}{2}$.
Augsburg za 100 złr.	138.	Medyolan za 300 lirów	$135\frac{1}{2}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	$161\frac{1}{2}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$137\frac{1}{4}$.	Agio duk. ces.	—.
Genua.	—.	Srebra agio	38.
Hamburg za 100 tal. banco.	$101\frac{1}{2}$.	Pożyczka 5% $85\frac{11}{16}$. $4\frac{1}{2}$	$76\frac{1}{8}$.
Konstantynopol.	—	Pożyczka lit. B.	—
Liwurno.	134.	Akcye banku	1208.
Londyn za 1 funt szterl.	13. 23.	Kolej północna	2135.
		Obl. ind.	5%. —

TEATR POLSKI.

W Piątek 26. maja 1854. r. **Helena de Seigliére.** Komedja przez Juliusza Sandeau z francuzkiego w 4. aktach (tłumaczenie p. Kalinki.)

W piątek koncert pana Moriani.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**